

V-14949/16



INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI

289 Fourth Avenue — New York 10, N. Y. — GRamercy 5-6766

Henryk Korab-Janiewicz - prezes

Generał Wincenty Kowalski - dyrektor

Dr. Jan Fryling - redaktor

ROK XVI, BIULETYN N. 2

MAJ, 1959

NA STRAŻY PRAWDY O POLSCE

I. WSTĘP

Biuletyn niniejszy poświęcony jest omówieniu stronnicej interpretacji najnowszej historii Polski. Taka interpretacja dokumentów odbiega często od ich rzeczywistego ducha, co z kolei powoduje mylną ocenę ich znaczenia.

Żyjemy w okresie, kiedy całe państwa i ustroje opierają często swoją politykę na negacji prawdy a sympatje dla systemów politycznych lub nadzieje uzyskania rozwiązań zagadnień międzynarodowych, sprwadzają uczonych na niebezpieczne drogi kompromisu, skłaniając ich do stosowania pół-prawdy dostosowanej do okoliczności.

Prace zaś obcych historyków, publikowane przez instytucje naukowe, docierają do bibliotek i ośrodków uniwersyteckich i częstokroć przyczyniają się do szerzenia poglądów, opartych na fałszywych przesłankach.

Polska, pozbawiona bytu niepodległego, nie posiada obecnie państwowych ośrodków prostujących tendencyjne informacje w odniesieniu do jej historii lub jej praw. Tego zadania muszą podejmować się niezależne polskie placówki naukowe na obczyźnie.

Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, poświęcony badaniom z dziedziny najnowszej historii Polski, stojąc na straży bezstronnej jej interpretacji, uważa za swój obowiązek zwrócenia uwagi na pracę angielskiego historyka Prof. Arnolda Toynbee:

"The Eve of War, 1939. Survey of International Affairs, 1939-1946. Edited by Arnold Toynbee and Veronica M. Toynbee. Issued under the auspices of the Royal Institute of International Affairs. Oxford University Press. London, 1958."

Zamieszczamy poniżej oceny krytyczne tej pracy przez dwóch wybitnych historyków polskich, Prof. Oskara Haleckiego i Prof. Michała Sokolnickiego.

II. MIT LINII CURZONA.

Żadna koncepcja polityczna, a raczej błędna koncepcja, nie wyrządziła Polsce większej szkody niż tak zwana Linia Curzona wraz z całym mitem, który wyrósł dokoła niej w ciągu lat niemal czterdziestu. Mit ów tak jest trwały, że ostatnio wywarł wpływ na jednego z największych historyków naszych czasów, profesora Arnolda Toynbee, w napisanej przez niego przedmowie do ostatniego tomu "Survey of International Affairs", tego niezbędnego przewodnika dla studiujących współczesną historię — którego jest wydawcą. Znaczenie zarówno autora jak i książki czyni pilną potrzebą zrewidowanie założeń, na których opiera się błędna interpretacja Lini Curzona i zestawienie tych często powtarzanych twierdzeń* z rzeczywistymi faktami, zaczynając od momentów mających charakter prawny.

1) Linia Curzona miała być "granica polityczną między Polską a Związkiem Sowieckim" po pierwszej wojnie światowej. W rzeczywistości, gdy tę linię po raz pierwszy nakreślono, 8-go grudnia 1919, miała ona być tylko kresem obszarów dawniejszego Cesarstwa Rosyjskiego, na których upoważniono Polskę, by natychmiast przystąpiła "do zorganizowania regularnej administracji" i prawa Polski "do obszarów, położonych na wschód od tej linii", zostały "wyróżnione zastrzeżone", a uczyniono to "bez przesądzenia postanowień, które powinny w przyszłości określić wschodnie granice Polski".

2) Linia Curzona została ponownie zalecona jako granica polsko-sowiecka "gdy podczas wojny rosyjsko-polskiej w roku 1920 sytuacja Polski była najniekorzystniejsza a Polacy byli "gotowi przyjąć" brytyjskie "good offices". W rzeczywistości Rząd Polski zgodził się 10-go lipca 1920 w Spa, na cofnięcie swej armii na linię 8-go grudnia 1919, która w ten sposób pojawiła się znowu tylko jako linia zawieszenia broni.

*Twierdzenia te są krótko streszczone w ustępach drukowanych grubszym drukiem.

3) Linie Curzona "opracował Rząd Brytyjski", a w szczególności jego minister spraw zagranicznych Lord Curzon. W rzeczywistości Lord Curzon nie miał nic wspólnego z wytyczeniem tej linii, która w roku 1919 stanowiła wspólną sugestię Wielkich Mocarstw, a w roku 1920 była popierana przez Lloyd George'a, podczas gdy brytyjski minister spraw zagranicznych podpisał jedynie 11-go lipca notę, przekazującą Rządowi Sowieckiemu propozycje zawieszenia broni.

4) Linia Curzona ustalała całą wschodnią granicę Polski "od południowego krańca narodowego terytorium litewskiego nad Niemnem po wschodni krańiec słowackiego terytorium narodowego w Karpatach". W rzeczywistości linia, która początkowo rozgraniczała jedynie dawniejsze terytoria rosyjskie na północ od przedwojennej granicy Galicji, została przedłużona w kierunku południowym do Karpat tylko wskutek pomyłki w nocie z 11-go lipca 1920, która zawiera oczywistą sprzeczność.

5) Linia Curzona była prawnie obowiązująca, a Polska przesunęła swą granicę dalej na wschód "samowolną akcją . . . zagarniając terytoria siłą". W rzeczywistości Linia Curzona nawet jako linia zawieszenia broni nigdy nie weszła w życie; Rząd Sowiecki bowiem odrzucił i przekroczył tę linię, Polska nie dostała obiecanej pomocy i w koniecznej samoobronie musiała walczyć o lepszą granicę.

Profesor Toynbee jest zbyt wielkim uczonym, aby zlekceważyć przytoczone wyżej dobrze znane fakty, to też nie przytacza dosłownie tych pięciu twierdzeń, jakkolwiek słowa w cudzysłowach są wzięte z jego "Wstępu" (str. 10 i nast., patrz również dopisek na str. 13). Natomiast następujących pięć twierdzeń znajduje stanowcze poparcie w jego argumentach.

6) Niezależnie od jej wartości prawnej Linia Curzona była w każdym razie słuszną "w przybliżeniu granicą etnograficzną" ponieważ "przewidywane straty po obydwu stronach były wzajemnie podobne co do wielkości". W rzeczywistości "parę skupień ludności ukraińskiej" które Linia Curzona pozostawiła pod rządami polskimi, były conajmniej dziesięć razy mniejsze pod względem liczby mieszkańców aniżeli "kilka wysuniętych enklaw ludności polskiej" . . . które ta sama linia pozostawiała pod rządami sowieckimi.

7) W razie takiego rozstrzygnięcia "głównie poszkodowani byłiby polscy obszarnicy, posiadający majątki zamieszkałe przez ukraińskich i białoruskich chłopów". W rzeczywistości ludność polska na wschód od Linii Curzona wynosiła przynajmniej cztery miliony, wśród której, oprócz paru tysięcy obszarników, znajdowały się masy tak polskich chłopów jak i mieszczan oraz intelektualistów w kilku najważniejszych centrach kultury polskiej.

8) Wszystkie "przeważające ukraińskie i białoruskie terytoria" należało pozostawić przy Rosji. W rzeczywistości takich terytoriów mogłyby domagać się jedynie wolne i niepodległe państwa Ukraińskie i Bia-

łoruskie. Przyjęcie za oczywiste, że wszystko, bez czego Polska "mogłaby się obyć" powinno się znaleźć pod władzą Rosji Sowieckiej, równa się nieuznawaniu wszelkich praw samostanowienia, jak i faktu, że część tych terytoriów (Galicja Wschodnia) nie należała nigdy do Cesarstwa Rosyjskiego, podczas gdy inne części pozyskało ono jedynie w trzecim rozbiórce Polski.

9) Granica ryska z roku 1921 "około 150 mil na wschód od etnograficznej linii Curzona", była wymuszona przez Polskę na Związku Sowieckim. W rzeczywistości ta granica, około 150 mil na zachód od granicy Polski przed rozbiorami, była linią kompromisową, osiągniętą w negocjacjach na Ryskiej Konferencji Pokojowej, podczas której główne trudności nie dotyczyły wcale sprawy terytoriów. Ta granica została dobrowolnie uznana przez Związek Sowiecki w traktatach o nieogresji z lat 1929 i 1932.

10) Zgłaszając pretensje do terytoriów poza linią Curzona Polska zyskała "nieubłaganą nienawiść czasowo pobitej Rosji", ponieważ zaś równocześnie zyskała nieubłaganą nienawiść Niemiec (co było nieukninione) skazała więc samą siebie na to, aby być "państwem sezonowym". Po doświadczeniu z roku 1945 nie można utrzymywać, że Polska mogła kiedykolwiek ułagodzić Rosję ustępstwami terytorialnymi, ponieważ istotnym celem jej nieubłaganego wroga było "nawrócenie" Polski właściwej siłą na komunizm.

Przyjmując, że "Polacy mieli dobre powody by obawiać się "tego, gdy odrzucili rosyjską pomoc wojсковą w roku 1939, profesor Toynbee cytuje (strona 16, przypisek 1) mowę niezależnego członka Partii Pracy w Parlamencie Brytyjskim, który już wtedy, 13-go kwietnia, wyrażał podobne przewidywania. Pan McGovern nie zdawał się zbyt obawiać możliwego stworzenia "Czerwonej Republiki" w Polsce: "Choć mogłoby to być pożądane z punktu widzenia klasy pracującej, nie byłoby pożądane z punktu widzenia pułkownika Becka". Trudno byłoby mu dać taką interpretację obecnie i byłoby wysoce niestosowne podejrzewać bodaj profesora Toynbee, że nie ma zastrzeżeń co do przymusowej sowietyzacji jakiegokolwiek kraju w jakimkolwiek czasie. Jednakże z całkowicie innego punktu widzenia przychylił się on do eliminacji mniejszych krajów gdziekolwiekby, a w szczególności we Wschodniej Europie.

Podzielając ogólny punkt widzenia historiografii brytyjskiej, która pod tym względem tak często wpływa na amerykańską, spogląda on, nie bez pewnej nostalgii, wstecz na polityczną mapę Europy Wschodniej z roku 1815, która była "prosta", ponieważ cały ten rejon "został włączony w dziedziny Wielkich Mocarstw". Ubolewa on z powodu "bałkanizacji", która stworzyła pomiędzy Wielkimi Mocarstwami "wielkie polityczne vacuum" (str. 5) albo "ziemię niczyją", jak się wyraża nieco później, jakgdyby mniejsze narody nie liczyły się wcale. Szczególnie surowy jest dla Polski, której skrajne cechy charakterystyczne jako "pań-

stwa sezonowego" miały "największy wpływ na losy reszty świata". (str. 9). Profesor Toynbee przeoczył jednak własny swój cytat (strona 5, przypisek 4) z mowy Neville'a Chamberlaine'a z 19-go maja 1939, który przypomniał, że w roku 1914 "Rosja i Niemcy miały wspólną granicę, a Polska nie istniała". Nie było istotnie w przededniu Pierwszej Wojny Światowej "zony izolacyjnej małych państw dokoła Niemiec". Polska była całkowicie podzielona między jej sąsiadów, którzy trzymali polskie duchy niespokojne pod ścisłą kontrolą: a jednak Rosja i Niemcy rozpoczęły wojnę ze sobą, ze znanymi skutkami dla losów reszty świata. One więc, a nie "stan umysłów" w małych krajach, były odpowiedzialne za zniszczenie, w roku 1914, porządku europejskiego, który same ustanowiły w roku 1815, jak również za zniszczenie w roku 1939 znacznie lepszego porządku, ustalonego w roku 1919. Niemcom się nie powiodło, ale Rosja zdołała w roku 1945 narzucić siłą Środkowej i Wschodniej Europie najgorszy "porządek", jaki ten rejon kiedykolwiek znał, przy czym wskrzeszona Linia Curzona, która stała się rzeczywiście granicą polityczną, posłużyła jako kamień węgielny całego systemu. **Oskar Halecki**

III. HISTORYK PRZECIWIW FAKTOM I DOKUMENTOM

Dokumentacja Drugiej Wojny Światowej miała być zadaniem wiekłej serii "Przeglądów", której tom dziesiąty — "W przededniu Wojny" — wydany został niedawno przez Królewski Instytut Spraw Zagranicznych w Londynie. W jedenastu tomach opisów i co najmniej tyluż tomach "Dokumentów" zamierzono szczegółową analizę wszystkich działań wojennych, polityki uczestników, przyczyn i skutków światowych przewrotu.

Niestety, upodobanie głównego redaktora wydawnictwa, profesora Arnolda Toynbee, do syntetycznych uogólnień i jego skłonność do stronnich uprzedzeń popsęły w części to chwalebne zamierzenie. Oto więc w tomie ostatnim przedstawione być mają źródła wojny i położenie w chwili jej wybuchu. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że zaczęła się ona o Polskę i w Polsce. Żadne późniejsze próby hitlerowskich wykrętów — że wojnę otworzyła "agresja" mocarstw zachodnich z 3 września, że działania w Polsce były operacją porządkową, policyjną — nie pozostawiły, zdawało się, ani śladu; wszyscy wiedzą, że wojna zaczęła się w dniu 1 września w Polsce, że Polska była nie tylko jej przedmiotem, jakim była Belgia w 1914, ale podmiotem, czynnikiem w znacznej mierze, w znaczeniu dobrym czy złym, rozstrzygającym. Wydaje się tedy, że każde badanie bezstronne zacząć się winno od Polski, że jej siły i słabości, cnoty i błędy winny być osnową historii nieszczęsnego 1939 roku. Inaczej wydawnictwo Królewskiego Instytutu, inaczej profesor Toynbee — dla niego istnieją, jak gdybyśmy byli od razu w 1942 roku, tylko wielkie

mocarstwa, tylko wielki przetarg potęg i narodów: co słabsze, wystawione jest na sprzedaż; Polska — płacze się gdzieś z tyłu, czy na peryferiach, w jakimś sztucznie stworzonym "no man's land"; szkodzić wprawdzie szkodzi, ale nie waży na żadnej szali.

Na 730 stron tekstu Polska zajmuje około stu — 14% całości. Co gorsze, traktowana jest niemal wyłącznie jako obiekt rozgrywki, jako rzecz bez własnego ciężaru. Ani zarys jej terytorium i granic, ani stan jej sił wojskowych, ani położenie ekonomiczne nie są rozpatrywane rzeczowo—ograniczono się do pogardliwych ogólników; tymczasem rzecz zasługiwała na zbadanie, chociażby ze względu na ocenę stosunków mocarstw i wielkiego kapitału do odrodzonej Polski. Przyczyną tego i innych braków jest, wytykane już od dawna redakcją "Surveyów" przez bezstronną krytykę, nieuwzględnianie źródeł i materiałów polskich, chociażby istniały one w wersji angielskiej. Zasadą stosowaną w "Przeglądach" jest użytkowanie w głównej mierze publikacji angielskich, oraz uwzględnianie w pewnym stopniu materiałów ogłoszonych po francusku i niemiecku. Tak się jednak zdarza, że oto choćby z pism prof. Namiera, którego poglądy w sprawach polskich są znane, podawane są obszerne wyciągi, natomiast doskonale udokumentowana książka dr. Roosa pominięta jest milczeniem; że francuskie pamiętniki i studia niezycliwe Polsce — Bonnet, Coulondre, Gamelin, Noël — podane są w obszernych wyciągach, podczas gdy dodatnie oceny francuskie, dotyczące Piłsudskiego, Becka, armii polskiej, nie są uwzględnione. Natomiast źródła i materiały polskie nie istnieją wcale dla autorów "Przeglądów" — tak iż na przykład rozmowy Bonneta z Łukasiewiczem podane są na wiarę Francuza, a ogłoszona równoległe wersja ambasadora polskiego po prostu nie jest cytowana. Podobnie z Hendersonem i Lipskim — ich rozmowami z 30 sierpnia: podane są sprawozdania Anglika, a wersja ambasadora polskiego jakby nie istniała.

Na takim przesądzonym już z góry tle pojawia się przedmowa profesora Toynbee, poświęcona zagadnieniu "odpowiedzialności" za kataklizm polityczny i wojenny. Zastrzega się on wprawdzie, że tym razem nie zachodzi, analogicznie do roku 1914 kwestia "winy", ale zaraz potem dostrzega ją w rozleglejszym zakresie w . . . Ameryce, w węższym zaś, ograniczonym do roku 1939, w . . . Polsce. Polska winna jest raz temu, iż wogóle powstała, rzekomo dzięki wprowadzonej w okresie wersalskim "doktrynie samostanowienia", która na wschodzie Europy doprowadziła do utworzenia "no man's land" — łańcucha "małych narodów", przypominającego angielskiemu uczonemu pas jaki założył w XVII wieku Richelieu dla odgrozdzenia Francji od strefy germańskiej. Dalej, Polska jako jeden z tych niewiadomo skąd zjawiających się "małych narodów" była winna, gdyż rozpanoszywszy się obrabowała "Rosję" i Litwę, zagar-

nęła kraje zamieszkałe przez 6 milionów Białorusinów i Ukraińców (liczby ludności polskiej są nie wymienione), z czym oczywiście "Rosja" nie mogła nigdy się pogodzić, wreszcie, korzystając z chwilowej słabości "Rosji", zmusiła ją do zawarcia niesprawiedliwego i krzywdzącego Traktatu Ryskiego. Polska na koniec była winna bezpośredniemu wybuchowi wojny, wynikł on bowiem na skutek zerwania z jej powodu rokowań wojskowych w Moskwie, co pociągnęło za sobą pakt niemiecko-sowiecki z 22 sierpnia 1939.

Najtrudniej jest chyba nauczyć historyka istotnych faktów tam, gdzie ma on zamiast nich swoje własne z góry powzięte przekonania. Niemniej trzeba skonstatować, że profesor Toynbee nie zna spraw Europy wschodniej, o których pisze. Nie zna źródeł ani przebiegu odrodzenia Polski. Nie odróżnia francuskiej koncepcji imperialnej z XVII wieku, tworzącej pas ochronny na własnym pograniczu, od żartej wiekowej walki o samoistość takich, z własnych dziejów wyrosłych narodów, jak Finlandia, Litwa, Polska. Nie orientuje się w odrębności Ukrainy, zarówno wobec Polski jak Rosji. Nie zna dziejów ani statystyki ludnościowej wschodniej Polski. Nie zna przebiegu rokowań polsko-sowieckich w Rydze, ani kompromisowego ich charakteru, i nie wie, że żaden konflikt o granice między Polską a ZSSR nie istniał aż do zjawienia się komunistycznego zaborczego imperializmu Stalina.

Cóż kiedy ignorancja Anglika w tych sprawach posuwa się aż do stosowania fałszywej terminologii. Toynbee nie zna obowiązującego dziś, i od lat 40 pojęcia historycznego i prawnego państwowego Związku Sowieckiego i konsekwentnie używa nazwy "Rosja". Błąd ten nie jest przypadkowy: autor dzieli świat 1939 roku na agresywne Niemcy hitlerowskie i pozostałe mocarstwa, broniące się przed ich agresją; do tych ostatnich zalicza też wymyśloną przez siebie "Rosję". Pojęcie swoje ilustruje przypowieścią o wiktoriańskim kupcu, znajdującym się nagle oko w oko z tygrysem i podającym mu kawałek cukru. Autor obrazuje wymownie "świat dżungli, nie do pogodzenia z tym, w jakim wychowali się" i wyrosli liberałowie brytyjscy, oraz ich zgrozę w zetknięciu z tym "brutalnym światem, który ich nagle i niespodziewanie otoczył". Ale zarazem nie chce dostrzec jednego z dwóch głównych promotorów tego okropnego nowego świata — bolszewizmu. Uparcie chce widzieć jakąś wspólnotę między owym wiktoriańskim kupcem a Rosją sowiecką, wmawia im pokrewne podłoże duchowe i wspólne interesy. Nie rozumie głębszej solidarności między hitleryzmem a bolszewizmem, ani tego, że prawo dżungli stanowiło ich przyrodzoną łączność. Nie wie, że Stalin na równi z Hitlerem, świadomie i celowo wywołał wojnę. Wskutek tego nie zdaje sobie sprawy, że ceną w rokowaniach mos-

kiewskich roku 1939 było by poddanie się Zachodu tymże prawom dżungli: frymarczenie istnieniem narodów, państw, granic. Wskutek tego także nie jest w stanie ocenić trudności polityki polskiej, która poza i ponad wszystkie jej błędy znalazła się w sytuacji bez wyjścia z chwilą, gdy zbliżyły się do siebie dwa solidarne, barbarzyńskie ustroje i imperializmy — hitlerowski i stalinowski. Zamiast tego profesor Toynbee widzi jedynie polski zabór "Białejrusi" z Wilnem, linię "etnograficzną" Curzona, a dla ewentualnego "polskiego Bismarcka" dostrzega jako wyjście z matni wyegzekwowanie wszystkiego na Niemczech natomiast zrzeczenie się z góry "terytoriów przeważnie białoruskich i ukraińskich na rzecz "Rosji".

Różnice horyzontów politycznych istnieją zawsze u historyków — i istnieć muszą. Jednakże w traktowaniu spraw polskich profesor Toynbee nie tylko wypowiada swe przekonania i ujemne sądy, ale wykracza poza ramy zakreślone dobrym smakiem. Autor odgrzebuje spod pyłu zapomnienia termin "Saisonstaat", używany kiedyś przez Niemców, dawno już u nich nie spotykany — i stosuje go do Polski po parę razy. Prócz tego, na niewielu stronach wstępu poświęconego Polsce i państwowemu "spadkobierczym", powtarza w odniesieniu do nich około dwudziestu razy termin "small countries" — małych państw, drobnych narodów. Otóż każdy realnie myślący polityk, każdy rzetelny historyk potrafi rozróżnić znaczenie narodów liczących 1,2 czy nawet 8 milionów ludności, od wagi narodu polskiego, w 1939 co najmniej 31-milionowego. Polska, bez żadnej megalomanii, nie była i nigdy nie jest "małym narodem". Określenie takie, nie mające cech rzeczywistości, wydaje się być epitetem propagandowym: ukuty fałszywy frazes, powtórzony wiele razy, nabiera wartości własnej, niezależnej od jego prawdziwości. W swojej "psychologii narodu angielskiego", znakomity znawca Anglii Emil Boutmy, zauważył kiedyś jak propaganda i reklama angielska działają powtarzaniem tych samych słów, wbijając w umysły pojęcia mające się stać dobytkiem sfer zainteresowanych. Zdawało by się jednak, że istnieje jakiś przedział między dziejopisarstwem i jego materiałem dokumentalnym a efektami propagandy politycznej.

Profesor Toynbee cieszy się dzisiaj w historiografii anglosaskiej słuszną czy niesłuszną sławą. Sława taka obowiązuje potrójnie: do znajomości rzeczy, do umiaru w sądach i do taktu w ich wypowiedaniu.

Michał Sokolnicki

Osoby zgłaszające się mogą otrzymać niniejszy numer Biuletynu w języku angielskim.

